

Stanisław Mikke

Zdarzenia niepożądane

Palestra 47/1-2(541-542), 69-71

2003

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

BEZ TOGI



Stanisław Mikke

Zdarzenia niepożądane

Coraz częściej słyszy się powiedzenie: świat zwariował. W którąkolwiek bowiem spojrzeć stronę patologie, osobliwości, zdumiewające jakieś wydarzenia. Czy poziom tych „nienormalności” jest wyższy niż, powiedzmy, trzydzieści lub dziesięć lat temu? Czy też rozwój cywilizacyjny, jego gigantyczne przyśpieszenie niesie ze sobą w stosownej proporcji te wszystkie aberracje?

Nie wszystko przecież da się wytłumaczyć rewolucją informacyjną. To prawda, jesteśmy bombardowani z narastającym natężeniem wszystkim tym, co wokół nas i na świecie, zwłaszcza tym, co złe. Bo dobra wiadomość, to dla środków przekazu – jak wiadomo – najczęściej żadna wiadomość. Mówi się o tym, pisze i już wyśmiewa, a „czwarta władza” nic sobie z tego nie robi. Wszelkie katastrofy i nieszczęścia (z braku bliższego geograficznie miejsca takiego wypadku podać trzeba koniecznie, że wykoleił się pociąg w Indiach i zginęło dwanaście osób lub pod gruzami domu w Meksyku, przypuścmy, zginęło tylu a tylu, wśród nich troje dzieci), okrutna zbrodnia czy inne jakieś trochę mniej pospolite przestępstwo, niczym z czasów plemiennych fetysz o magicznej sile, wykorzystywane są do odprawiania współczesnego informacyjnego obrzędu.

Wczoraj o dziewiętnastej trzydzieści mój czteroletni syn przywołał mnie: „twoje wiadomości-okropności!”, bo zdarza się, że podpatruje, co też rodziców tak przyciąga przed ekran o określonych porach.

A teraz, kiedy piszę ten felieton, jest godzina jedenasta przed południem, jako pierwszą informację w radiowej jedynce podano tę, że domniemany przywódca gangu wołomińskiego Henryk N. pseudonim „Dziad” stanął przed sądem w Białymstoku za obrazę kilku osób; i zaraz, jak gdyby rytualnie niezbędne, nastąpiło przybliżenie jego przestępczej biografii. Czy naprawdę jest to informacja zasługują-

ca na wyeksponowanie i wszechpolski rozgłos? Kogo ona tak naprawdę interesuje, oprócz kompanów tamtego i wrogów?

Można zapytać, jakimi to motywami kierują się ci, którzy układają informacyjny serwis? Co chcą osiągnąć? Może jednak w ich głowach funkcjonuje coś na kształt matrycy, w której należy wypełnić poszczególne miejsca byle jaką, ale właściwą rodzajowo wiadomością. I ten bezrefleksyjny schemat, który dziedziczą kolejne pokolenia masowych informatorów, jest trudny, albo w ogóle niemożliwy do przezwyciężenia. Ten stan każe więc wyrzucać jako nieużyteczne wiadomości pozytywnie brzmiące. Ale niech no tylko kilku zdemoralizowanych wyrostków zniszczy nagrobki w jakiejś miejscowości koło Sieradza, doniesieniu o tym lokalnego korespondenta zostanie nadany natychmiast inny walor.

Swoisty kult „negatywizmu” nie zmienia jednak faktu, że mamy do czynienia z wielką liczbą, sięgnijmy do terminologii medycznej, zdarzeń niepożądanych. Nic odkrywczego w zauważeniu, że tak być musi, że częstotliwość ich występowania pozostaje w jakiejś statystycznej proporcji do określonych wartości.

Dla niejednego czymś wręcz niepojętym jest, że można pasjonować się nauką statystyki. Lecz wystarczy pomyśleć, jaką to wiedzę z rodzaju profetycznych dysponują specjaliści z tej dziedziny. Im wyższy poziom owej wiedzy, tym większe możliwości przewidywania zdarzeń przyszłych. To musi wpływać na myślenie o rzeczywistości. Ostatnio byłem świadkiem, jak pewien miłośnik statystyki słuchając niepokojów kogoś, kto wybierał się w dłuższą samochodową podróż w okresie wzmożonego ruchu kołowego, powiedział: „jedź, oczywiście, ostrożnie, ale nie przejmuj się zbytnio, i tak jesteś tylko jednostką statystyczną na drodze”.

Są jednak takie zdarzenia niepożądane, które, z jakąkolwiek by do nich filozofią życiową podchodzić, zdumiewają i zmuszają do pytania: jak to się mogło stać?

Jak więc doszło do tego, że uchwalono ustawę o abolicji podatkowej z błędami i sprzecznościami z Konstytucją na poziomie prawniczej szkoły elementarnej? Stała za tym aktem prawnym – ktoś odpowie – jak i za ustawą o biopaliwach, dotkniętą podobną skalą nieprawidłowości, określone racje polityczne nie oglądające się na taki drobiazg jak prawo, ale mimo wszystko...

Jak to się dzieje – trudno nie pytać – że odnowiona ustawa o prawie autorskim pisana długie miesiące, która weszła w życie 1 stycznia 2003 r. już w połowie stycznia była przygotowywana do nowelizacji? Czy nikt nie zaangażował odpowiednich sił prawniczych do zaopiniowania projektu ustawy, który nie w pełni dostosowywał zasady ochrony praw autorskich do dyrektywy unijnej sprzed 10 lat a dotyczącej przekazu satelitarnego i kablowego? Dlaczego – te pytania można mnożyć – legislatorzy nie zauważyli wcześniej, jakie konsekwencje nie tylko dla operatorów, ale i dla milionów ludzi wywoła zbyt krótkie *vacatio legis* uniemożliwiające poczynienie uzgodnień ze związkami chroniącymi prawa twórców i wykonawców?

Czy naprawdę, weźmy kolejny przykład, nie można było uniknąć, przepraszam, ale ośmieszającego błędu w nowelizacji ordynacji podatkowej, która doprowadziła do sytuacji, w której małżonkowie pozostający w małżeńskiej wspólnotcie majątko-

wej mieli, do czasu pospiesznej nowelizacji, uniemożliwione ustanowienie hipoteki na nieruchomości stanowiącej ich własność?

W zdaniach wypowiedzianych przy najrozmaitszych okazjach, używany jest zwrot: „w innych, bardziej okrzepłych, utrwalonych demokracjach”, który ma przeciwstawiać naszą, rodzimą, raczkującą. Otóż nie wydaje się, aby stosowanie tego klucza miało jakiś sens. Brak co prawda doniesień o legislacyjnych kompromitacjach innych parlamentów, ale zdarzeń niepożądanych tam przecież nie brakuje. Bywają i takie, które wprawiają w osłupienie. Do nich bez wątpienia należy ujawniony w Niemczech, w państwie symbolicznego ładu i dyscypliny, lekarski proceder wystawiania rachunków za leczenie nieżyjących już pacjentów. Z telewizyjnej wiadomości wynikało, że to nie jednostkowe wypadki a praktyka na tyle częsta, że doprowadziła najprawdopodobniej do nadużyć sięgających milionów euro. Czy to polepsza nasze samopoczucie po ujawnieniu mrozących krew w żyłach zachowań lekarzy i sanitariuszy w łódzkim pogotowiu? Na pewno nie, tak jak i konstatacja, że z czymś, co dziś nazywane jest globalizacją, podobnie jak z wolnością. Może być tak ku dobremu, jak i ku złemu, i że dotyczy również zdarzeń nawet najbardziej niepożądanych.